



Ferdynand A. Ossendowski

autor CZAORA

Mamy przed sobą zdjęcie utalentowanego powieściopisarza, słynnego podróżnika i wielkiego uczonego, Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego. Tego słynnego powieściopisarza z pewnością znacie wszyscy, chociażby z drukowanej w „Krasnoludkach”, jego opowieści północnej pod tytułem „Czao-Ra”. Ossendowski należy do najwybitniejszych powieściopisarzy nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie. Napisał on bardzo dużo książek, które cieszą się wielkim powodzeniem i są tłumaczone w bardzo wielu językach. Jego książka „Ludzie, zwierzęta i bogowie”, wy-



dana w Ameryce, zjednała Ossendowskiemu uznanie wśród najwybitniejszych znawców literatury świata, wyniosła go na wyżyny, przodujących powieściopisarzy i jest przetłumaczona na przeszło 20 języków.

Poza tem jest Ossendowski znany ze swoich bardzo licznych podróży. Wszereż i wzdłuż przeszedł on całą Azję, gdzie, zwiedzając jej północną część, zapoznał się z życiem i obyczajami narodów dalekiej północy. Później to wszystko bardzo ładnie i bardzo szczegółowo opisał w swej opowieści Czao-Ra, która my obecnie czytamy.

Kochani

Już oddawna jesteście przyjaciółmi, dobrze się znamy i piszemy do siebie liściki. Tak, kochani, przyjaźń to wielka rzecz! Kto ma dużo przyjaciół, temu lepiej i łatwiej się powodzi w życiu. Ma on z kim się podzielić w niedoli i smutku, oraz może mile spędzić godziny szczęścia w gronie życzliwych sobie ludzi. Każdy człowiek musi wynajdywać przyjaciół za młodu. Przyjaciół zdobyć możemy bardzo łatwo, o ile wykonujemy sumiennie nasze obowiązki i jesteśmy uczynni względem swoich bliskich, kolegów i znajomych.

Człowiek w każdym wieku i na każdym stanowisku ma cały szereg obowiązków, które musi wypełniać. Kochani, już oddawna stanowimy wspólne grono „Krasnoludków”. Tworzymy jedną wielką całość, a stąd cały szereg mamy obowiązków. Żeby móc spełnić te nasze obowiązki musimy przede wszystkim ze sobą się porozumiewać. A porozumieć się możemy albo wtedy, kiedy się ze sobą widzimy i możemy się rozmówić, albo za pomocą pisania listów i czytania gazet. My także piszemy do siebie liściki, mamy swoją gazetkę. Gazetka zawiera bardzo ciekawe wiadomości, które dla każdego dziecka czytającego przynoszą dużo korzyści i pożytku. Każdy z Was, kochani, musi uważać za swój obowiązek otrzymywać i czytać dokładnie każdy numer swojej gazetki i przykładać wszelkich starań, ażeby ci, co jeszcze jej nie otrzymują i nie czytają — zrobili to jaknajprędzej. Jeśli jesteście przyjaciółmi i kochamy swoje grono „Krasnoludków”, to musimy także wszyscy brać czynny udział w pracach wspólnych, w pracach „Krasnoludków”. Niech każdy z was postanowi w przeciągu miesiąca zdobyć przynajmniej jednego nowego, prenumeratora naszego pisemka. Pamiętajcie, drodzy, że to pisemko jest wydawane dla Was, dla polskich dzieci. Kosztuje ono każdemu z was pojedynczo bardzo tanio,

bo tylko 80 santymów miesięcznie. Więc poproście grzecznie tatusia i mamusię, a napewno go Wam zaprenumerują. Gdyby się okazało, że rodzice Wasi są niezmierzni i nie mogą opłacać gazety, wówczas napiszcie do nas, a my to uwzględnimy. Doskonale przecież rozumiecie, że drukowanie pisemka kosztuje dużo pieniędzy i dlatego nie może być ono rozsyłane za darmo. Już przeszło rok, jak drukujemy i wysyłamy „Krasnoludki”, a wielu z Was nie pomyślało o tem, by za nie zapłacić. Musicie zrozumieć, że jeśli nie będziecie za gazetkę płacili, to nie będzie ona mogła wychodzić, a na tem straciecie Wy, bo nie będziecie mieli swojej własnej gazetki i nie będziecie mogli czerpać z niej tyle ciekawych i pożytecznych wiadomości. Jak chcecie, żeby w waszym pokoiku rósł kwiatek, to musicie go podlewać i pielęgnować. Z gazetką jest zupełnie to samo. Jeśli chcecie ją otrzymywać, to musicie za nią płacić, bo bez tego nie może ona być drukowana. Przecież za darmo nic się nie robi. Kosztuje papier, na którym gazetkę się drukuje, kosztują maszyny, które ją drukują i trzeba także płacić ludziom, którzy przytem pracują, bo przecież oni z tej pracy żyją.

W najbliższym czasie Ci, którzy płacą za gazetkę, dostaną od nas prezent. Prezentem tym będzie „Domino Krasnoludków”, które załączymy do gazetki. Spewnością już nieraz widzieliście „Domino”, a może i sami graliście. Ale to nasze domino jest zupełnie inne i niepodobne do tego zwykłego z kostek.

Wysyłamy do Was także setki liścików. To również wymaga od nas wydatków, bo i poczta kosztuje sporo pieniędzy. Więc na przyszłość będziemy mogli pisać i odpisywać na liściki tylko tym, którzy prenumerują gazetkę i dopomagają nam w wydawaniu swej własnej gazetki „Krasnoludków”, lub tylko tym, o kim będzie nam wiadomo, że ani sami, ani ich rodzina za pisemko zapłacić nie mogą.

Krasnale

O Mirku, Koziołku i Krasnoludku — Zwierzomilku

Mirek dostał na imieniny od chrzestnego ojca koziołka.

Koziołek z początku dziki i niesforny pokochał Mirka bardzo. Chodził za chłopcem, jak wierne psisko, przybiegał na każde skinienie swego przyjaciela i tyko czasem smutno, bardzo smutno, spoglądał w oczy chłopca. Najszczęśliwsze chwile w ich wspólnym życiu spędzali na malej łączce za wozownią; tam dopiero było używanie! Dokazywanie, kozły, skoki! A kiedy się obydwaj zmęczeni, kładli się obok siebie na trawie — chłopiec opalał rączką obejmował szyję swego białego przyjaciela i patrzył w jego śliczne, czarne oczy.

Aż raz dziwnie spojrzął koziołek... Mirek drgnął: zdawało mu się, że zwierzę przemówiło...

— No, powtórz, powtórz! — krzyknął. — Ty mówiłeś.

Ale koziołek beknął tylko zcicha i po chwili trącił Mirka łebkiem na znak, że odpoczął i zabawa rozpocząć się może na nowo.

Koziołku, ty coś przede mną ukrywasz — powiedział chłopiec z wyrzutem, a'e koziołek zrobił taką niewinną minkę, że Mirek nie wiedział, co ma o tem myśleć.

W kilka dni potem mówił furman Janek:

— Wie Miruś co? Bo to u koziołka za przegrodą w nocy to cosik tak świeci jak złoto, albo i brylanty... Niech Miruś przyjdzie do mnie, jak zamykam stajnię, to pokaże.

Choć Mirek udawał, że nie wierzy furmanowi, to jednak pozerła go wielka ciekawość. Koziołek był nieraz taki dziwny, tak mu mądrze z oczu patrzyło...

— Ani chybi, musi być zaczarowany — doszedł do przekonania Mirek.

W nocy, gdy wszyscy już spali, wykrał się Mirek do stajni.

W chwili jednak, gdy dotknął dłonią zwierzęcia, jakaś siła osadziła go na grzbiecie koziołka. Nim Mirek ochłonął z przerażenia, koziołek wierżgnął parę razy, stanął dęba, pomknął przez płot, rów i krzaki malin na łączkę, a stamtąd miedzą, polami do lasu. Z początku jes-

chali szybko i cicho — im jednak bardziej zagłębiali się w las, tem wolniej biegł koziołek, a biegnąc rozglądał się naokoło, jakby przypominał sobie znane, a dawno niewidziane strony.

— Oho, znów mnie zacznie obgryzać — mruknęła jakaś zablakana wśród świerków brzoza. — Nawet w nocy spać nie daje, świecąc rogami w gałęzie. Aaa! — Ziewnęła z całej siły, aż jej się gałąz obłamała z głośnym skrzypieniem. — Oszalała! — zaszumiały zgorszzone świerki. Nagle koziołek stanął.

— Zsiadaj — zawołał na chłopca i pocałował dalej mówić ludzkim głosem:

— Powiedz mi, Mirku, czy byłem kiedy zły dla ciebie?

— Nie — odpowiedział Mirek.

— Czy chciałem cię kiedy ubodźć?

— Nie. Byłeś dla mnie zawsze bardzo dobry i dlatego kocham cię, koziołku.

— A jednak widzisz, mój Mireczku, dla mnie nie było to dobre.

— Nie było dobre? — zdumiał się Mirek.

— A tak, dla mnie było to nawet bardzo złe... Ażebyś to zrozumiał, muszę ci opowiedzieć swoją historję. Kiedyś, kiedyś przed laty, byłem takim samym chłopcem, jak ty, tylko złym bardzo i dokuczliwym. Dla zwierząt byłem katem. Psy біłem, konie męczyłem i zajeżdżałem, koty wieszałem, a gdy wreszcie przebiłem skrzydło gołębiowi — zjawił się przede mną Krasnoludek — zwierzomilek i rzekł:

— Wszystkie zwierzęta z mojego kraju przyszły do mnie z placzem i narzekaniem i żądają ode mnie twojej śmierci. Ja lituję się nad tobą i twoją głupotą i ukarzę cię tylko. Dotkliwa jednak będzie to kara: zostaniesz jednym z najniebezpieczniejszych, najbardziej upartych zwierząt — będziesz kozłem. Dopiero wtedy odzyskasz dawną postać, gdy twój właściciel ciebie pokocha.

Niestety, ciągle zmieniałem właścicieli: nikt dłużej, niż kilka dni, a najwyżej tydzień nie chciał mnie trzymać.

(Dokończenie na str. 7)

Drzewa cienkie, powyginane, koszlawe wyciągały gałęzie tylko od południowej i zachodniej strony. Mech i liszaje okrywały popękane pnie od północy.

Zniknęły wreszcie jodły i świerki, a brzozy i cedry już nie przeżyły swoich koron ku niebu, lecz płaszczyły się, przyciskały do ziemi, chroniąc się przed smaganiem zimnych wiatrów.

Łowiec wychodził na tundrę.

Wśród kęp, okrytych śniegiem, tu i ówdzie czerniały gęste zarośla krzaków, burchy trzciny i suchej trawy, pobitej mrozem.

Nadchodziła noc polarna, nieskończenie długa, groźna, czasami tylko rozświetlana srebrnym światłem księżyca.

Był to najcięższy dla myśliwych czas i najniebezpieczniejszy.

Marusz z trudem rozpoznawał w mroku ślady, wykryte przez Czao-Ra, badał je i zastawiał ściepice, nasałki i sidła — rzemieńne pętle, rozwieszane na tykielach nad tropami lisów.

Z trudem wykopał łowiec głęboki dół, w którym miał spędzać noc podbiegunową, po całodzienniej pracy ogrzewając się przy ognisku.

Cisza, niczem nie zmacona, zalegała puszczę.

Coraz częściej myślą biegł ku malej chatce, stojącej w pobliżu jeziora Choluń, gdzie pozostawił Nań z wesółym Dugem.

Wzdychał smutno, lecz wkrótce się uspokoił.

Trafił na dobre miejsce, obfitujące w zwierzynę.

Nagle tuż przed myśliwym poruszyły się gwałtownie gałęzie, strząsając śnieg i suche igliwie.

Z gąszczu szalonym skokiem wydarł niedźwiedź.

Oczy mu błyskały wściekle, rozwartą, roniącą pianę paszcza, ukazywała ogromne kły.

Natychmiast stanął na tylne łapy i z rykiem runął na myśliwego.

Nie było ani chwili do stracenia.

Marusz szybko zmierzył do zwierza i spuścił kurek.

Strzelba nie wypaliła. Śnieg, po którymś upadku myśliwego pozostawionym w lufie, roztopniał przy ognisku i zamoczył proch.

Nie zdążył myśliwy wyrwać siekiery, zatkniętej za pasem, gdy niedźwiedź silnym uderzeniem łapy obalił go i przycisnął do ziemi, usiłując schwycić go paszczą



za głowę, aby zwykłym swoim chwytem zdruzgotać ją i zmiażdżyć.

Marusz już czuł na twarzy gorący, parny oddech niedźwiedzia, gdy napastnik nagle ryknął rozpaczliwie i, porzuciwszy człowieka, zaczął się oganiać psu.

Czao-Ra wpiła mu się zębami w grzbiet i ciągnęła ku sobie, zwinnie unikając mocarnych łap niedźwiedzia, który, rycząc coraz jękiwiej, usiłował dosięgnąć jej pazurami.

Już krew broczyć zaczęła i ściekać po kudłach drapieżnika, gdy Marusz oprzytomniał po otrzymanym ciosie. Z trudem wstał i, zataczając się, jął ostrożnie zachozić niedźwiedziowi od tyłu.

Udało mu się wreszcie wykorzystać chwilę, w której zupełnie nieprzytomny z bólu wściekłości zwierzę, zapomniawszy o człowieku, odwrócił się od niego karkiem.

Marusz szybko podskoczył i z rozmachem wbił w głowę drapieżnika ostrze siekiery.

Z rozplataną czaszką, brocząc posoką, niedźwiedź błyskawicznym ruchem obrócił się młynem i porwał myśliwego.

Jednak natychmiast runął razem z nim, chrapiąc straszliwie.

Rozpaczliwym, ostatnim wysiłkiem, uderzył naodlew łapą, godząc Marusza w lewe udo.

Po chwili, wywaliwszy język, niedźwiedź leżał nieżywy.

Czao-Ra, wpiwszy się w tylną nogę burego olbrzyma, szarpała na niej skórę, wrywając kawałki mięsa. Puściła wreszcie swoją ofiarę i, dopadłszy znowu do leżącego niedźwiedzia, ze złem warczeniem, gryzła, usiłując przerwać mu gardło.

Marusz, dziwnie osłabiony, siedział na śniegu bez ruchu.

Wreszcie dźwignął się i chciał wstać na nogi.

Natychmiast jednak upadł, wydając krzyk bólu.

Odwinał pole długiej kurtki futrzanej i przez grube spodnie ze skóry ieleniej obmacywał nogę.

Był blady, wargi mu drżały, na twarzy miał wyraz cierpienia i rozpacz.

Przekonał się, że miał złamane udo ciosem potężnej łapy.



Skóra i futro ubrania ochroniło Marusza od ran, tych straszliwych, szarpanych ran, które zadaje niedźwiedź swymi pazurami, ostrymi i twardymi, jak stal. Myśliwy w jednej chwili uświadomił sobie, całą głębię niebezpieczeństwa, grożącego mu.

Do jeziora pozostawało pięć dni dobrego biegu.

Teraz nie mógł stąpić ani kroku, nie miał prochu, aby zwoływać pożywienie, nie potrafiłby zbierać suchych gałęzi na ognisko.

Śmierć zajrzała mu w oczy...

Nie dał się jednak ogarnąć rozpacz, bo był to człowiek północy, nawykły do ciągłej walki o życie.

Z trudem udało mu się namówić Czaora, aby wreszcie została w spokoju zabitego niedźwiedzia.

Potrzebną mu była do innych czynności.

Gwizdnął cicho i, wskazując ręką na leżące o kilka kroków torby, rzekł:

— Yrr, Czaor, przynieś!

Szpic przyciągnął skórzane torby i spoglądał na Marusza pytająco.

Myśliwy przystąpił do opatrunku złamanej nogi swojej.

Z trudem wyrwał z czaszki niedźwiedzia tkwiącą w niej siekiere i zaczął odłupywać od pobliskiego pnia szczapy.

Z worków wydobyl szmatę i długi rzemień.

Długo mozolił się nad ściąganiem nogawicy, a gdy się z tem uporał, raz jeszcze starannie obejrzał sobie udo, sycząc z bólu i marszcząc czoło, zestawil kość, jak umiał najlepiej, zacisnął nogę pomiędzy dwiema szczapami owinał szmatą i mocno omotał rzemieniem.

Doprowadziwszy do porządku ubranie, zabrał się do wycinania ze skóry niedźwiedzia szerokich pasów, które powiązał ze sobą tak, że utworzyły uprząż.

Przymierzył ją na Czaora. Zmniejszył nieco chomonto, opierające się na silnym karku i szerokiej piersi szpica, podciągnął poprzęgi do końców szlei, zwisających z boków, umocował długie, mocne rzemień.

Mruczał do psa :

— Nie jestem winien, pocziwa Czaor! Sama widzisz, że pokaleczył mnie ten bury „czoldon“... Teraz tylko od ciebie zależy, czy ujrzę raz jeszcze małego mego synka, Dugena i Nań, która zawsze była dobra dla ciebie i dla twego Wou-Gou...

Zmęczony położył się na śniegu i wypoczywał.

Jako-tako rozpalil ognisko i upiekł przy niem kilka kawalków mięsa, wyciętego z grzbietu niedźwiedzia.

Pożywił się, nakarmił psa, przyczołgał się do zwisających gałęzi świerkowych i zrabal dwie największe i najszersze.

Leżąc na boku, przywiązał do nich narty w taki sposób, że utworzył jakgdyby plozy sanek, których siedzenie stanowiły mocno powiązane ze sobą gałęzie.

Długo truduł się nad tem Marusz, a gdy skończył, usnął, wyczerpany pracą i bólem. Sen to był niespokojny, bo gorączka trapiła myśliwego, zimne drzewce wstrząsały nim. Nie mógł się zagrzać przy ognisku. Drżał na całym cieie i głośno szczał zębami.

Wreszcie gwizdnął na szpica.

Włożył na niego uprząż, uwiązał szleje do sanek, umieścił na nich karabin i worki.

Zwrócił się do psa z mową, jak gdyby przemawiał do człowieka.

— Dobra, wierna Czaor! Byłaś mi przyjaciółką. Nigdy nie uderzyłem ciebie... Teraz dopomóż mi i ratuj! Jestem słaby, pokaleczony i zgine w „tajdze“, jeżeli nie wywieziesz mnie z niej. Ciągnij teraz sanki Czaor, do Nań, do Dugena, do małego Wou-Gou.

Czaora patrzyła na myśliwego, nie spuszczać z niego oczu, i strzygła uszami.

Marusz wczołgał się na gałęzie, starając się, aby całym ciężarem opierać się na nartach, i zawołał:

— Ruszaj!..

Szpic szarpnął postronki i, z pomocą leżącego człowieka, który zrowną nogą i rękami, uzbrojonymi w dwa ostre kije, nopychał sanki, pociągnął przęcając się z nisko opuszczoną głową i wzniesionym ogonem.

Marusz wiedział, że cztery szpice, zaprężone do nart, wiozą po gładkim śniegu trzech ludzi i około 25 kilogramów rzeczy, lecz on miał tylko jednego psa i ciężką drogę przed sobą, przegrodzoną zaspami, przeciętą gąszczem krzaków i młodych świerków.

Podziwiał teraz Czaora.

(Dalszy ciąg na 6 str.)

(Dalszy ciąg ze str. 5)

Jakgdyby rozumiejąc ciężkie zadanie swoje i odpowiedzialność za życie panawybierała najlżejszą i najkrótszą drogę, omijała haszcze i głębokie doły.

Nikt jej nie uczył, nikt nie wskazywał kierunku, a tymczasem niemylnie szła na południe.

Ciężka to była praca, więc po paru godzinach stawała zdyszana, oglądała się na Marusza i padała na śnieg, aby wypocząć.

Cały tydzień ciągnęła CzaO-Ra swego pana, wreszcie, strudzona do reszty, upadła i już nie mogła się podnieść. Jęczała głośno i wyla rozpaczliwie.

Marusz zrozumiał, że pies wyczerpał wszystkie siły.

Westchnął łowiec i zacisnął zęby.

Na noclegu został zjedzony ostatni kawał mięsa. Dawno już w worku nie było ani herbaty, ani cukru, ni soli.

Mysłiwy rozpalil ognisko i gwizdnął.

Spicz podczołgał się, żalostnie stękając.

Marusz obejrzał łapy CzaO-Ra i zaczął odcierać je śniegiem.

Widocznie ulżyło to szpicowi, bo z wdzięczności merdał kitą ogona i, zwinawszy się, usnął przy ogniu.

Obudził się, gdy na niebie płonęły różnobarwne pasy zorzy polarnej, zajął do pustej torby i tracił zimnym nosem w dłoń myśliwego.

— Nic nie mam do zjedzenia, starucho... — rzekł Marusz smutnym głosem.

CzaO-Ra, utykając, obeszła niedużą polankę, na której się zatrzymali, i nagle podbiegła do leżącego słowika, liźnęła go w policzek i zniknęła w zaroślach młodych jodeł.

Powróciła, niosąc w pysku bielaka i wymachując ogonem.

— CzaO, dobra pocziwa CzaO! — zawołał wrzuszony łowiec i wydobyl już nóż, lecz namyśliwszy się, rzekł do psa:

— Możebyś zdobyła jeszcze jednego, albo dwa, CzaO? Idź szukaj!

Spicz, zdawało się, długo nie mógł zrozumieć. Zdziwienie odbilo się w jego mądrych oczach. Jednak w końcu pobiegł do lasu. Nie powracał długo... Już zorza przygasać zaczęła, gdy zdaleka dopłynęło jękiwie szczekanie CzaO.

— Przynieś! — krzyknął Marusz na

cały głos.

Spicz długo się nie zjawiał.

Gdy wynurzył się z niewysokiej porośli, łowiec ujrzał, że pies niesie w pysku zająca.

Poklepał psa po grzbiecie i mruknął:

— No, teraz masz swoją porcję, CzaO!

Odrąbał głowę i przednie nogi zająca i rzucił na śnieg. CzaO-Ra nie tknęła mięsa, patrząc na nie obojętnym okiem. Oblizywała się tylko czarnym ozorem.

Zdziwiony Marusz uważnie się przyjrzał psu.

CzaO-Ra miała mocno opchany brzuch, a oczy jej się kleiły. Zrozumiał łowiec, że pies porwał i zjadł jednego zająca, drugiego zaś przyniósł swemu panu.

Gdy CzaO dobrze się przespala, Marusz kazał jej poznosić dużo suchych gałęzi i złożyć je w pobliżu sanek.

Przyciągnął do siebie psa, ujął obiema rękami za głowę i, patrząc mu w oczy, powtarzał:

— Wou-Gou!... Wou-Gou! Wou-Gou! Idź do Wou-Gou!... Biegnij szybko, szybko, jak jeleń!... Przyprowadź do mnie Nań... Nań... Nań! Idź tam! Tam! Tam!

To mówiąc, ręką wskazywał na południe

— Ruszaj, CzaO, do Wou-Gou, do Nań! — krzyknął rozkazującym głosem i gwizdnął.

Wielka siła była w głosie Marusza, bo pies ogou podwinął i, jednym susem przesadziwszy krzaki, zniknął w kniei.

Marusz pozostał sam...

Spojrzał w niebo i szepnął błagalnie:

— Wielki Duchu!...

Jak niegdyś Nań, tak teraz on nie znał żadnego innego słowa, aby wyrazić swoją prośbę do Boga. Może był bardzo wrzuszony, a może już nie miał nadziei?

Los jego zależał teraz wyłącznie od CzaO-Ra. Znalesz Nań i zmusić ją do poszukiwania zaginionego męża? A co się z nim stanie, jeżeli Nań pomyśli, że Marusz zginął w tundrze i, oplakawszy go, jak to się już zdarzyło niejednej północnej kobiecie, zmieni koczowisko, aby być bliżej zaludnionych okolic?

— Wielki Duchu!... Nań... Dugen, malv, mucolowaty, uśmiechnęty, chłobaczyna! ...

(DCN)

O Mirku, Koziołku i Krasnoludku - Zwierzomilku

(Dokończenie ze str. 3)

Wszystkich niecierpliwiłem swoim uporem i każdy pozbywał się mnie z przyjemnością. Ty pierwszy okazałeś mi cierpliwość i pokochałeś mnie, mimo mojego nieznośnego z początku usposobienia. Więc teraz — dzięki ci, dzięki...

Tu koziołek tupnął nóżką, zamigotały złote różki... Zaszumiało, zahuczało — i oto — stanął przed Mirkiem chłopiec nieco wyższy od niego, szczupły, w obcistych, pięknych spodenkach, w skórzanych ciżemkach i w kurtce z bufiastemi rękawami.

— Skąd ty jesteś? — pytał zdumiony Mirek.

— Tutaj mieszkałem, ale już dawno, dawno przed wiekami...

— Tak dawno?...

— A tak, mój chłopczyku, długo trzeba pokutować za krzywdy, które się wyrządza! Słowa te wypowiedział Krasnoludek-zwierzomilek, który właśnie zsunął się z galezi. — A teraz każdy w swoją drogę: muszę pilnować porządku w mojem zaczerpniętym królestwie: Mirka odniosę do domu, a o niezwykłym koziołku usłyszysz jeszcze.

Na drugi dzień nie znaleziono koziołka w stajni. Nikt nie wiedział co się z nim stało, Mirek zaś milczał, jak zakłętą.

Marysia i zajączki

Marysieńko, kochanie,
oddaj nam to śniadanie,
wyrzuć kapustkę z rączki,
niech ją zjedzą zajączki!...
Pusto dzisiaj na łące,
głodne chodzą zające,
czy to młody, czy stary,
w brzuszkach grają fanfary...
Marysiu, moja duszko,
ty masz dobre serduszko,
daj kapustkę, co żywo
zrób nam szcztę prawdziwą!...

Z. Walicka-Neymanowa

Czarne kwiaty

Murzynkom jasne wzeszło słońce,
W promiennej hostji przyszedł Bóg
Ręce wyciągnął błogosławiące
Z białych, dalekich dróg.
Serduszko w czarnej piersi bije,
Gdy mówi kapłan — biały brat:
Że Bóg im czarność z serc obmyje,
Dusze wybieli ich, jak kwiat.
Popatrzcie na nich, białe dzieci.
Tak kornie kłęczą jak i wy,
Do dusz Gołabek Boży wleci,
Ziszczą się długie sny.
Bo dzieci czarne i wzgardzone
Pojęły chwałę już,
Łaską słoneczni^o wybielone
Do bożych idą służb.

Sen murzynka

Śpij, murzynku, sen czarodziej
niech ci zamknie oczy dużej!
Nim się nowy dzień narodzi
noc nadchodzi w ciemnej chmurze.
Patrz, Pantofel, psiak kudłaty,
ze zdumienia chyba pęknie.
Kto to widział: w białe szaty,
murzyn przystrojony pięknie.
Zaśnij, u mnie ci najmilej,
przecież jestem twoją mamą.
Zegar liczy nočne chwile
wciąż tak samo, wciąż tak samo.
Przyśni ci się kraj daleki,
Kwiat zakwitnie, brat zawoła.
(Brat twój dobrym jest człowiekiem,
chociaż czarny tak, jak smoła.)

Wyniki wyścigu Sprytnych Główek

w następnym numerze



Stara małpa wróży u młodej świnki

Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze Życie”, Riga — Dzirnau 57. „Krasnoludki”
Drukarnia „RIT1”, Riga, Dzirnau ielā Nr. 57.